

„Moherfucker” jest drugą częścią cyklu o tym samym tytule. Pierwszą częścią była wydany w RUNIE „Hell-P”.

Kamil Stochar, niewygodny dla przełożonych, zostaje „wypożyczony” do Sankt Petersburga, w którym dochodzi do kilku zbrodni pasujących, zdaniem wybitnego analityka Konstantego Sukonina, do sytuacji, opisanych w „Hell-P”, w Polsce. Cthulhu, guimony i tak dalej. Racjonalny umysł nie może się z tym pogodzić, ale skoro nic innego nie pasuje?

Kamil przyjeżdża do Petersburga, odbiera go na dworcu przydzielona do opieki milicjantka w randze porucznika – Zemfira Markijewa. Po rozpakowaniu się przyjeżdżają na pierwszą rozmowę do siedziby MSW w Pitrze.

Powieść

ukaze się jesienią tego roku. Inne fragmenty - na stronie wydawnictwa RUNA: <http://www.runa.pl/blog/node/102>

Prezentowany fragment jest brudnopisem i może mieć mało wspólnego z tekstem ostatecznym. Abo wręcz przeciwnie.

ed

Sekretariat był pusty, Zemfira nie zwalniając przemierzyła go i otworzyła drzwi, do których prowadził granatowy chodnik, drugie drzwi miały odnogę zieloną. Usunęła się i wskazała mi przejście.

- O nie, panie przodem – powiedziałem.

Wszedłem za nią. Był to rodzaj salonu, ława z czterema fotelami, przytulne światło kinkietów, dwa fikusy, białe marszczone zasłony, lekki zapach pasty do podłóg.

- Rozgość się. Kapitan Sukonin już idzie.

Nie rozglądałem się przesadnie po pomieszczeniu, raz – bo nie było tu nic imponującego, dwa – żeby nie wyjść na pampucha z prowincji, któremu przydarzyła się wycieczka do stolicy. No i po trzecie – nie było czasu, do gabinetu wszedł kapitan Sukonin. Wyglądał dokładnie jak ksiądz Janovich z ostatniego filmu Clenta Eastwooda, podobieństwo było tak duże, że obiecałem sobie nigdy o tym nie mówić, na pewno słyszał to już setki razy.

Sukonin energicznie pokonał trasę od drzwi wpijając się we mnie wzrokiem. Albo usiłował zapracować swoje miano naczelnego analityka, albo taką miał metodę. Nie odwróciłem wzroku, powstrzymałem się w ogóle od jakichkolwiek ruchów, poza oddychaniem.

- Cześć, czolem. Jestem Sukonin, Konstanty. Moi polscy przyjaciele mówili mi Kostek – powiedział bardzo czystą polszczyzną.

- Kamil Stochard. – Podniosłem się i uściśniłem mocno jego dłoń. On się nie siłował, wyszedłem, we własnym mniemaniu, na durnia – po co komu te zgrane zawody w „kto-kogo”? – Moje imię nie ma zdrobnień.

Sukonin wskazał mi mój fotel, usiadł sam, popatrzył na Zemfirę i złożył z kłaśnięciem dłonie.

- Tam wszystko jest gotowe. Mogłabyś pogospodarzyć? My się tu poznamy, a potem przejdziemy do konkretów. – Niemal nie można było jego polszczyźnie nic zarzucić, mówił bez wysiłku, z leciutkim tylko, „zaciongajoncym” akcentem.

- Był pan długo w Polsce – stwierdziłem.

- Proponuję jednak na ty – powiedział. – Oczywiście, że byłem długo w Polsce. Armia Czerwona wyszła z waszej ojczyzny we wrześniu dziewięćdziesiątego trzeciego. Byłem tam chorąym, do ostatniego dnia, do uroczystego wyprowadzenia. Mój przełożony i teść

jednocześnie, generał Jarcew, był majorem. – Uśmiechnął się szeroko. – Pewnie pomyślałeś, że, wzorem Putina, na Zachodzie, my, Rosjanie, zdobywamy szlify, które tu wynoszą nas na szczyty władzy?

- Coś jest na rzeczy, powiedziałby przeciętny Polak – powiedziałem, ciekaw, czy naprawdę jego znajomość polskiego jest taka topowa i będzie łapał każdy niuans.

- Zaiste. – Trzepnął mnie i moje chytne językowe pułapki.

Otworzyły się drzwi i Zemfira wprowadziła do pokoju tramwaj z dwu stolików na kółkach. Pobrząkiwały butelki, kieliszki, sztućce, parowało coś z wazy.

- Zastanawiałem się nad konwencją naszej biesiady – rzucił wesoło Sukonin. – Czy pójdziemy w kawior i bielugę w galarecie, bliny i *pielmieni*, czy whisky, węgorz, pasztet, a może w śledzia otrzebanego o cholewę buta, na gazecie, oczywiście, kiszonych ogórców i pomidorów, a do tego sól w pudełeczku po zapalkach. I mętny samogon zaszpunktowany korkiem z gazety.

- I jaja na twardo! – dodałem z mocą. – Bez jaj, to nawet bym nie siadał do stołu.

- Ba! – Zemfira podjechała bliżej. – W końcu poszedłem na kompromis. Ucha – wiesz co to? – Pokręciłem głową. – Zupa rybna, koniecznie, nawet jeśli nie lubisz...

- Nie wiem, nie jadłem.

- I do tego zimne przekąski. Dobra. – Stoliki zacumowały przy nas, gospodyni poprawiła ich ustawienie, kliknęły jakieś hamulce. Sukonin bardzo charakterystycznie, tak było w każdym filmie, zataił dłonie i zapytał radośnie podniecony: - To co – wódeczka, koniak, piwko?

- Trzymam się raczej jednego gatunku, zostanę przy wódce.

- Świetnie! – Szybko przestawił kieliszki, dwa, Zemfira nie była tu w roli gościa. – No to wypijmy za przejście na ty, i możemy spróbować zupę.

Wódka była schłodzona maksymalnie, zgęstniała miękko spływała w kieliszki, aksamitnie wpływała do gardła, dopiero potem, w dolnej partii przelyku i żołądka jakby ogrzewała się, dawała o sobie znać miłym ciepłym pieczeniem. Do zupy poszedłem nieufnie, ale po kilku łyżkach wiedziałem, że już zdecydowano, co będę tu jadł codziennie.

- Czytałem twoje raporty – przeskoczył nagle Sukonin na temat ściśle służbowy. – Wszystko jest zrozumiałe, poza tymi częściami niezrozumiałymi. Albo to majaczenie, albo trzeba zmienić podejście do pracy operacyjnej, albo w szeregach glin powinni pojawić się księża i popi?

- Tylko to drugie. – Skończyłem uchę i odetchnąłem. – Księża nic nie mogą działać przeciwko guimonom. Co to są guimony... wiecie? – upewniłem się.

- Trochę. Możesz to wyłożyć jasno i prosto, żołnierskim, jak to mawialiśmy w Legnicy, językiem. Nie przejmuj się kompletnie tym, co mówisz, byle prawdę, a potem będziemy się martwić, jak to zjeść.

- No więc, po pierwsze, Lovecraft, Amerykanin, który wymyślił Cthulhu, albo stał się jego pierwszą świadomą ofiarą, może nie ofiarą, tylko pierwszym piewcą, nie wiem. Według opisu Lovecrafta...

- Przepraszam, że ci przerywam, ale szkoda czasu, Samotnik z Providence był i jest u nas wydawany, nie czytałem wcześniej, ale po lekturze twoich raportów – zerknął na Zemfirę, ta skinęła głową – zapoznaliśmy się z tym, co on mówi o... - odchylił się i sięgnął do kieszeni. – Przepraszam. – Wyjął Motorolę, i powiedział: - *Kapitan Sukonin* – już po rosyjsku. – *Da... da... poniał...* - rozłączył się i popatrzył na Zemfirę: - Włącz laptopa, proszę.

Pani porucznik, o nogach godnych pani generał brygady, skinęła głową i bez słowa przyniosła z sekretariatu, albo skądś indziej, piętnastocalowego Della i ustawiła na szafce. Nie musiałem długo myśleć, by dojść do wniosku, że ktoś będzie uczestniczył w naszej rozmowie, ukryty pod ekranową tapetą z potężnym czołgiem w skoku godnym przerażonego kangura.

Sukonin, byłem o tym przekonany z niezachwianą pewnością, umyślnie nic mi nie tłumaczył, właśnie po to, żebym miał zabezpieczoną przeraźliwą jasność. No dobra, jak tam oni go nazywali? A, generał Jarcyn! Może uczestniczyć w rozmowie.

Kapitan nalał do kieliszków.

- Dobra, to wracamy do naszych baranów. Wiemy jak wygląda Cthulhu, co dalej z nim?

- Według Lovecrafta Cthulhu śpi na dnie oceanu, w koszmarnym mieście na dnie Pacyfiku, mieście cyklopów o nazwie R'lyeh, według naszych innych, wiarygodniejszych źródeł, Cthulhu leży w Nowym Orleanie, zapieczętowany w jakiejś grocie, krypcie czy innym grobowcu. Ale śni, to znaczy emituje swoje sny, snuje je po świecie, a one, przybierając czasem postać niemal samoistnych bytów szukają sobie nosicieli. – Żal mi się zrobiło Zemfiry, która nie znała polskiego tak dobrze, jak Sukonin, ale zaraz potem naszła mnie myśl, że to JA tak myślę, a ona też mogła urzędować w jakiejś komórce w Polsce. Stłumiłem dżentelmeńskie rozterki. – Znajdują takich w osobnikach słabych duchowo, ale nie wiem, co to znaczy, dlaczego jedna babcia nadaje się do zasiedlenia, a inny staruszek nie. Nie wiemy.

- Nie można było tego zbadać? – zapytał Sukonin zębem widelca rysując spirale w cienkiej warstewce majonezu na dnie swojego talerza.

- Nie. Żywy guimon nie daje się badać, nie udało się dotychczas takiego uśpić, unieruchomić, spętać... A zabity rozpada się na pył w ciągu kilku minut, dwóch-trzech...

- I to jest ten dowód, że nie jesteście ze swoimi kolegami z USA kopnięci – podsumował tę kwestię Konstanty.

Miał jednak kilka lat przerwy w polskim, teraz 98 procent Polaków powiedziałyby „świrami”, a nie „kopnięci”.

- Tak, między innymi to – powiedziałem bez nacisku na „to”. Po co, jak na razie nie wyglądało, by para porucznik-kapitan miała trudności z rozumieniem moich słów. – Taki widok przekonuje każdego, w każdym razie w gronie niedowiarków są wyłącznie ci, co nie widzieli przemiany starego ciała, raz w coś, co Giger odrzuciłby jako przesadnie wymyślne, niewiarogodne, a potem, po zabiciu – w dziwny tłusty rtęciowy proszek, który po kolejnych minutach wyparowuje.

- Reasumując – nie mamy podstaw, by ci nie wierzyć. Choć nie chce nam się. Wierzmy, że ty i jeszcze kilka osób, co najmniej tyle, jesteście przekonany co istnienia Cthulhu i jego, jak to nazwałeś w raporcie, pomiotów, guimonów.

Pokiwałem głową.

- Tak możemy to zaprotokołować: jestem święcie przekonany o istnieniu guimonów, co do Cthulhu – powstrzymałbym się z deklaracją wiary, nie widziałem go, tylko jego wizerunki. Tak, guimony i Fn'thal. Fn'thal to jakby biskup w gronie kapłanów- guimonów, wiem o istnieniu jednego, którego zabilimy, czy jest ich więcej nie wiem – wzruszyłem ramionami. Nałożyłem sobie łyżkę jakiejś dziwnej sałatki z burakami, nieufnie skosztowałem. Cholernie mi podeszła, dołożyłem. – Podobno pojawiają się Fn'thale co jakiś czas, do wypełnienia szczególnych misji, ale czy działają samotnie czy grupowo, czy mają wsparcie pospolitych szeregowych guimonów – nie wiem.

- A o co chodziło tym waszym guimonom i Fn'thalowi?

- Nie wiem.

Odpowiedziałem nieco szybciej niż chciałem, niż należało. Ale tak długo zastanawiałem się nad tym, że pytanie uruchomiło coś jak reakcję Pawłowa.

- Nie miałem rok temu o nich pojęcia. Nikt w Polsce. Nagle przyjeżdża ze Stanów Zjednoczonych ekipa, poznają jej operacyjnego, Jerzego...

- Znowu ci przerwę – Wilmowski jest dość dobrze u nas znany, możesz więc mówić o nim śmiało, niczego i nikogo nie zdradzasz. Odwiedzał nasz kraj cztero- czy pięciokrotnie, o tylu wizytach wiemy – przyznał się, przyciskając dłoń do piersi. – Nie szkodził nikomu, węszył dokoła centrów wiary, co teraz, w kontekście twoich raportów, staje się mniej więcej jasne.

Nie zaskoczył mnie. Jerzy wspominał o Rosji.

- Domyślałem się.

- Dlaczego?

Szukałem chwilę w pamięci.

- Mówił o Rosji jak o kraju, gdzie ścierają się wielkie namiętności. Z wielu powodów, z powodu pieniędzy, polityki, religii. Macie iskry między byłymi komunistami i dzisiejszymi piewcami wolności i demokracji, macie problemy z Czeczną, Dagestanem, Uzbekistanem, Gruzją, Osetią Południową i Północną, z Ukrainą, i tak dalej. Z tego, co wiem, guimony żywią się namiętnościami chętnie i łapczywie. Nie można więc wykluczyć, że przyklejają się do każdego miejsca, z którego wieje pasją.

Sukonin spokojnie przeniósł spojrzenie na Zemfirę, ale i to spokojne spojrzenie było znaczące.

- Poza tym...- Postanowiłem ciąc, póki działało znieczulenie, wódka i pierwsze spotkanie. – Jeśli wierzyć naszym mediom, to macie wiele spraw nieuregulowanych, nieuporządkowanych – wiesz, cerkwie, popi, Watykan, nowi Ruscy, nowi wierzący, racjoniści i sekty w kilkudziesięciu jak nie więcej ekspozycjach... To wszystko, jeśli wierzyć Amerykanom, mętna woda, w której uwielbiają się taplać guimony.

- I nie tylko – skwitował moje słowa Sukonin. – Każdy męt chętnie się potapla w takim gównie.

Nalał do naszych kieliszków, stały obok siebie, poziom cieczy ustabilizował się na identycznym poziomie. Postanowiłem trochę zmienić tonację rozmowy, ciekaw, czy Sukonin przystanie na to, świadomy wirtualnej obecności Jarcyna w pokoju.

- Precyzja nalewania jest imponująca – powiedziałem, patrząc na kieliszki. – I wielkość tych *riumek*¹.

- To u was już Zjednoczona Europa naszczała wam do kielonków – powiedział ze zjadliwym uśmieszkiem. – Zamiast normalnych kieliszków macie czterdziestogramowe nie wiadomo co. U nas trzymają się jeszcze setki i pięćdziesiątki. A co do precyzji - wiesz jak się u nas mówi? *Da pust' atsochniet tamu ruka, kto stoja na razliwie obidiet siebia*. – Odczekał chwilę i przetłumaczył: - Niech uschnie ręka temu, kto rozlewając skrzywdził siebie. Wiesz, pamięć mięśniowa i jeszcze jedno powiedzonko: *Wa wsiom nużna snarowka, tierpienje, trienirowka*. – I – nie ufając, słusznie, mojej znajomości rosyjskiego, przełożył znowu: - We wszystkim konieczna jest zręczność, cierpliwość i trening.

- Trudno polemizować. Wy, Rosjanie, kochacie, chyba, mądrości ludowe.

- Chyba tak. No dobrze. Co dalej mamy w sprawie guimonów?

- Skoro, tymczasem przynajmniej, nie machacie rękami i nie odsyłacie mnie do *psichuszki* – postanowiłem i ja zaszpanować znajomością języka obcego – to dalej jest tak. Cthulhu, który ma kilka imion, Wielki Przedwieczny, Kapłan albo Brat Przedwiecznych, inaczej Al-Khadhulu czeka na przebudzenie, a póki co, Pan Snów, zbiera legion do walki z całym światem o władanie nim. W tej chwili jest tak, że on, jakoby, czeka na wygłoszenie formuły, która wywoła go na świat realny. Według wszystkich znanych danych, jeśli to są dane, to nikt nie zna tej formuły, choć Lovecraft ją podał, na szczęście dla nas nie działa, ale co roku, między dwudziestym ósmym lutego a drugim kwietnia, a szczególnie w nocy z dwudziestego drugiego na dwudziestego trzeciego marca ma jakiś sprzyjający dla siebie okres. Ponieważ mamy już dwunastego kwietnia, to możemy przyjąć, że to nieprawda.

- Albo znowu się udało – pokiwał głową Sukonin.

Nie bardzo chciało mi się wierzyć, by tak szybko i łatwo kupił to, co powiedziałem. Owszem, miał raporty, ale tam wszystko było sformułowane mgliście, rozmazałem to, poprzykrywałem czym mogłem, żeby przełożeni mogli to przełknąć. Może jednak „brzytwa Holmesa” działała?

1 *riumka* - kieliszek

Przytapałem Zemfirę na szybkim spojrzeniu na ekran laptopa. Ale jego głośniki milczały. Co prawda, generał mógł wysłać im jakieś sygnały choćby przy pomocy wibratorów komórek, albo po prostu, jak na razie, wszystko szło według planu.

- Jak się to nazywa? – wskazałem sałatkę, w skład której wchodziły gotowane buraki, ogórki kiszzone, marchewka i coś jeszcze.

- *Winięriet* – odpowiedział machinalnie, zastanawiając się nad czymś.

Aha, sos z octu i oliwy, zdominował nazwę. Zapisałem w pamięci i to dzieło kucharza.

- Jeśli dobrze zrozumiałem to mieliście działania operacyjne, całkowicie realne i realistyczne, pomieszane z tymi fantazmatami? – zapytał Sukonin po chwili milczenia.

Może wsłuchiwał się w głos szmerzący mu pytania wprost do ucha, z mikronadajnika, nie wnikałem.

- Tak. My tropiliśmy guimony, ale wdał się w to wszystko pospolity bandzior, który w finale okazał się guimonem. Chyba innego rodzaju... - Przypomniałem sobie breję wyciekającą z ran po srebrnym nożu, przypomniałem sobie wcześniejszą ranę, która powinna była nieodwołalnie przetrząść Posokę do innego świata. - Mówię „chyba”, bo to on właśnie zabił na moich oczach Jerry’go Wilmowskiego. A wcześniej ja sam go zabiłem, byłem pewien, że go zabiłem, dobrze zabiłem... - Rzuciłem krótkie spojrzenie na stół. Kapitan właściwie zrozumiał moje intencje, szybko nalał, podał, uniósł i wychylił, ja – w tej samej sekundzie. Przekąsiłem marnowanym grzybkiem, moja siostra robi lepsze. - Potem miałem tylko jedno spotkanie z kimś z ekipy Jerzego, zostałem odznaczony, pochwalony i wypieprzony ze stolicy.

- Wrocław to piękne miasto – powiedział z rozmarzeniem Sukonin, jak kot na wspomnienie miski z wiejską śmietaną, którą udało mu się podprowadzić gospodyni.

- Tak.

- Dobrze, a co z tym Jerry’em Wilmowskim? – zapytała nagle Zemfira, unosząc dwie sekundy wcześniej palec.

Sukonin nie zgromił jej spojrzeniem, więc po zgłoszeniu pytania zadała je.

- Nie żyje. Powiedział mi tyle: jest czterech ekstermanów, zrozumiałem że są czymś w rodzaju w rodzaju wędrownych rycerzy, objazdowych likwidatorów guimonów. – Westchnąłem. – Cholera, jak to tandetnie brzmi! Dopóki nie zobaczy się na żywo, nie poczuje koszmarnego smrodu i obrzydliwej śliskości łuski. – Odrzuciłem siłą woli obraz grubaski na weselu, Fn’thala i innych rycerzy mroku. Wymacałem w kieszeni scyzoryk, wyjąłem. – Możemy zobaczyć jedną scenkę.

Sukonin poderwał się niczym dźgnięty ostrogami rumak.

- Masz coś do pokazania?

Może jego generał ryknął mu coś do ucha, nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

- Mam.

Wysunąłem ze scyzoryka końcówkę pen-drive’a, wstałem i, udając, że nie widzę, Zemfiry, wyciągającej do mnie rękę, podszedłem do laptopa i wsunąłem pena w port USB. Nagranie nie było żadnym sekretem, nawet jeśli pominie się fakt, że nie oglądał go żaden z moich przełożonych, a może nawet żaden inny Polak, ale jeszcze nie doszedłem do myśli o konieczności dzielenia się wszystkimi argumentami z rosyjskimi przyjaciółmi. Pani lejtnant nie rezygnowała.

- Poczekaj, puszczone na rzutnik – usiłowała odsunąć mnie od sprzętu, naparła lekko łokciem, ale nie ustąpiłem.

- Podzielę się z wami w odpowiednim czasie, ale nie dziś – powiedziałem z naciskiem.

Odsunęła się, szybko sięgnęła do szuflady, wyciągnęła sterownik, manipulowała chwilę, po przeciwległej ścianie zsunął się błam ekranu, z szafki natomiast wysunął się rzutnik, jeszcze tylko kabel i uruchomiłem nagranie.

To nagranie było dłuższe od prezentowanego mi kiedyś przez Jerzego, tylko raz, już w zimie, kilka miesięcy po śmierci Jerzego, odważyłem się zapuścić nagranie, ale wymiękłem już po minucie. Zacisnąłem zęby, spokojnie wycofałem się pod ścianę. Ze

sterowca nieźle widać było kawał Warszawy, obraz chwilami nieznacznie drżał, zdradzając użycie dużego zoomu i brak wyspecjalizowanego żyroskopowego sprzętu, ale widoczność i tak była bardzo dobra. Kamerzysta wolno najechał na ogrodzony teren wspólnoty, potem na zbliżeniu widziałem siebie, potem siebie pod bramą, potem samotninę, pojawiające się nowe postacie: gówniarzy i ich guru, Szpakowatego... Nie musiałem chłonać akcji, dlatego dzieliłem czas na podgląd ekranu i kontrolę min Sukonina i Zemfiry. W pewnej chwili kapitan, nie odwracając się, pomachał niecierpliwie ręką, Zemfira poderwała się i rzuciła do laptopa. Omal nie parsknąłem śmiechem: zapomnieli przerzucić obraz do swojego szefa i na dodatek nie ustawili właściwie laptopa, musiał ryknąć do zięcia, by ten przypomniał sobie, kto tu rej wodzi. Paradoksalnie pomogła mi ta scenka oderwać się od ponurych myśli. Jakbym nagle strząsnął z siebie grubą warstwę zakurzonych łachmanów – mogłem patrzeć na ekran bez skręconych w węzeł trzewi.

Zobaczyłem jak młodzi wyznawcy Czegoś-Tam suną na mnie, widziałem, jak trafiam jednego gówniarza w nogę, potem w bark, jak pocisk, trochę przypadkowo trafia w kij bejsbolowy, a szczeniak, dwukrotnie postrzelony i uzbrojony tylko w ułomek kija, ciągle, mimo to, idzie na mnie. Przypomniałem sobie jak podczas pierwszej projekcji Jerzy zatrzymał obraz, wysunął palec i pokazał mi na górze ekranu zaciekawiony pysk Szpakowatego „kapitana” nad krawędzią bramy. Musiał wdrapać się na kubek śmietnika, albo gorliwi *moonies* trzymali go na swoich ramionach. Tymczasem na ekranie trwała moja bijatyka z nieczułym na pociski gówniarzem, gówniarzem-guimonem. Przesunąłem się w bok, zmuszając guimony do napierania na ranną nogę, nie bolała go, ale – pamiętałem – nie słuchała go tak dobrze jak zdrowa. Wymierzyłem kopniak, i nagle w polu widzenia kamery pojawiło się coś, czego wcześniej nie zauważyłem. Albo czego mi nie pokazano.

- Poczekajcie sekundę! – podskoczyłem do laptopa i cofnąłem nagranie o dwadzieścia sekund, a potem zwolniłem je trzykrotnie.

W polu widzenia obiektywu pojawił się koniec lufy karabinu, celował w dół, gdzie guimońskie szczenię usiłowało nadziać mnie na szczerzący nierówne kły kij.

- Ktoś cię asekurował – pokiwał głową Sukonin.

Sukonin-sukinsyn! Od razu zrozumiał to, czego ja przez rok nie mogłem pojąć – jak można było wysłać takiego dupka, pozbawionego wiedzy o zagrożeniu, do enklawy, w której co przyczało się co najmniej kilka pociotków Pana Snów! Można było, trzymając na muszkach wyspecjalizowanej broni jego nieziemskich przeciwników! A ja myślałem, że Jerzy... miał w dupie, jak potoczy się walka, że dopiero potem zacząłem coś dla niego znaczyć...

Skrzyżowałem ręce na piersiach i zafundowałem sobie soczystego szczypa w bolesne miejsce pod pachą. Na ekranie udało mi soczyście gruchnąć młodziana w głowę, zachwiał się, poprawiłem bezlitosnym uderzeniem kantem dłoni w szyję, po którym opadł na kolana, a ja ruszyłem w kierunku dziewczyny. Zbliżenie pokazało jej otwarte szeroko usta, miała koszmarnie krzywą, wołającą o pomstę nad rodzicami albo nieudolnym stomatologiem górną czwórkę, oczy zniknęły w szczelnie zwartych powiekach, znowu niemal usłyszałem jej przenikliwy wizg.

„- Patrz na niego” – upomniał mnie wtedy Jerzy.

- Patrzcie na tego powalonego – rzuciłem do widzów.

Kamerzysta przesunął obiektyw i skoncentrował obraz na tarzającej się po trawie postaci. Mój przeciwnik dygotał mocno, właściwie rzucał się jak w padaczcze, potem nagle wyprężył się cyrkowo, niemal dotykając tyłem głowy pięt i natychmiast zwinął w płodowy kłęb. Widzieliśmy, jak odrzuca głowę i otwiera usta do krzyku, do wycia, do wizgu?.. Ale przecież, pamiętałem to doskonale, nie wył. Dorotka już wtedy się nie darła, usłyszałbym. Kamerzysta zrobił zbliżenie na jego już nieruchomą twarz, widzieliśmy, jak oczy zapadły mu się, ściemniały, ale zaraz potem błysnęło w nich coś purpurowego... Kamerzysta przegapił to, zamiast skoncentrować się na rozjarzonych piekielnym ogniem oczach! Obraz skokowo odsunął się, objął całą postać: chłopak nagle wyprężył się i... rozsypał...

Jak potworek z gry komputerowej trafiony wystarczającą ilością razy magicznym, zakupionym za zdobyte trzosiki.

- Puścić jeszcze raz? – zapytałem z lekką kpina w głosie.

- Puść! – Sukonin zachrypiął, odkaszlnął. – *Job twaju mat!*

Zatrzymałem, puściłem. Dokładnie tak samo, jak przy pierwszej projekcji, też nie mogłem uwierzyć, też chciałem zarzucić im manipulację, tricki, multiplikację... I tak samo nic się nie zmieniło: chłopak leżał na trawie, krwi było mało... Leżał, był, „wył” i zniknął... Kamera wpiła się w miejsce po nim, ekran wypełniły powiększone źdźbła trawy, kilka z nich wyprostowało się, wszystkie przysypane sproszkowanym srebrem. Pył mienił się, jakby płynął po trawie, ale nie płynął. Po kilku sekundach znudzony statycznym widokiem kamerzysta „odjechał” i nagle dość wiernie odtwarzający kontur ciała pył po prostu zniknął. I wiedziałem, że żadne spowolnienie nie ukáže etapów pośrednich. Jest – nie ma. Kropka.

- I to tyle – powiedziałem.

Podszedłem do kompa, wyjąłem scyzoryk z portu USB, wróciłem do stołu, udając, że nie widzę złości w oczach Zemfiry. Przesmarowałem pół kromki masłem, pokryłem je czarnym kawiozem, odgryzłem...

- To jest... - Sukonin dopiero teraz odwrócił się, dość gwałtownie, od ekranu - ... cholernie mocne, najmocniejsze co widziałem w życiu – powiedział. – To jest gorsze od widoku... czołgającego się w moim kierunku faceta, któremu urwało nogę, a on podpira się nią i lezie, lezie... - Potrząsnął głową i chwycił butelkę. Nalał. – Czym to się robi? Srebrne kule? Nacierane czosnkiem? Nie, no co ja gadam?! Ja, racjonalista i w przeszłości niemal marksista, czerwonoarmista, milicjant – i pytam, czym powalić stwora nie z tej ziemi???

- Mnie to też nie wchodziło do głowy. Do pierwszego guimona. – Podniosłem do góry rękę. – Sygnet z alsternu. Metal, który zabija guimony. Czystej stali też nie lubią, srebro – piecze i pali. Ale najlepszy alstern.

- Dasz do zbadania.

Pokręciłem głową: - Wykluczone. Poza tym – nie schodzi mi z palca. Zresztą – czy tobie się wydaje, że gdyby można było wyprodukować go w laboratorium, to Amerykanie dawno już wsadziliby każdemu mieszkańcowi Ziemi obrączkę na palec?

- No to skąd go mają?

- Nie wiem. Zdrapują z pokrywy mogiły Cthulhu. Przyrasta jakoś ale mało, za mało...

Sukonin tytnął okiem na moją rękę.

- Daj nagranie – poprosił.

- Coś za coś – powiedziałem twardo.

- A co chcesz?

- Jeszcze nie wiem.

- No to masz to.

Wypiliśmy.

- Dobra – zdecydowałem się nagle. Nie chciało mi się pilnować nagrania dzień i noc. Zresztą... Zresztą, przecież przyjechałem tu z pomocą? – Żebyście nie mówili, że Polacy wam wrogami.

- Dobra – powiedział poważnie Sukonin. – To my też postaramy się, żeby Polacy nie myśleli tak o nas.

Zemfira już pędziła do mnie z wyciągniętą dłonią. Podąłem jej scyzoryk.

- A coś jeszcze masz na deser? – zapytał z chytrą miną Sukonin.

Pokręciłem głową.

- Nie mam. Jak mi się coś przypomni, to powiem.

Pokiwał głową, nie wiem, czy odnosiło się to do moich słów, czy do tego, co usłyszał w słuchawce.

Postanowiłem podrażnić go. Jak to mówią Rosjanie: „Jak drażnić tygrysa, i śmieszno, i straszno!”.

- A generał Jarcyn jak mocno się interesuje tą sprawą?

- Jarcew.
Cholerka!

- Przepraszam, Jarcew. Ktoś źle napisał nazwisko.

- Generał Jarcew jest żywotnie i osobiście zainteresowany. – Uniósł głowę do góry i chwilę wpatrywał się w sufit. Chyba chodziło mu o to, żebym nie miał już wątpliwości, że generał Jarcy... Jarcew jest z nami. – Jest pod wrażeniem twojego video – dokończył wracając spojrzeniem do mnie. – Upoważnił mnie do zapoznania ciebie z wszelkimi niezbędnymi i w ogóle - potrzebnymi materiałami do prowadzenia dochodzenia.

Teraz ja zapatrzyłem się w sufit. To było coś nowego i lekko zaskakującego. Ja widziałem siebie jako konsultanta, reprezentanta, ofiarę wreszcie, wykpiwaną przez niedowiarków, ale nie spodziewałem się zaszczytu prowadzenia dochodzenia w Rosji.

- Jak to sobie wyobrażacie?

- Zwyczajnie – mówisz nam, co należy zrobić i robimy to.

„Akurat! - pomyślałem. - Będą słuchali eksportowego... A-aa!.. Ekstermana! Oni sądzą, że zastąpiłem Jerzego i stałem się ekstermanem! Cóż, na razie, póki nie zapytają wprost – let it be!”. Poczułem, że wódka zaczyna krążyć po trzewiach, wspina się wyżej, wymacuje szlaki do głowy i znajduje tam siedlisko. Było jej tam przyjemnie, obiektywnie i szczerze - za bardzo nawet.

- Dobra. Wiemy, na czym stoimy i czego oczekujemy. Ode mnie. No więc ja powiedziałem i pokazałem sporo, a co wy możecie mi dać?

Mój nowy rosyjski przyjaciel, Kostek Sukonin, sięgnął do butelki, ale zrezygnował w pół ruchu.

- Mamy tu kilka spraw, które, ku naszemu żalowi wyjaśniałby udział tych twoich guimonów – powiedział i nagle eksplodował: - Guimonów-chujmonów! – Sapnął dwa razy.

- Dwa tygodnie temu na zwyczajnym naszym osiedlu coś-ktoś rozszarpało pięciu główniarzy. Nikt nie widział co się stało. Po prostu – chwilę temu pięciu blokerosów siedziało na ławce, a po trzech minutach zostało z nich kilkanaście kawałków. Ostatni widok to piątka szczeniaków i babunia. To raz, ten najbardziej spektakularny. Nielegalna przetaczalnia krwi na eksport, to dwa. Kilka innych dziwnych i nieprawdopodobnych spraw ze staruszkami w roli głównej, to trzy. Aha, niedawno coś rozszarpało jednego miłego i nowoczesnego popa w cerkwi, w Moskwie. – Nie akcentował specjalnie pointy informacji, ale tak „nie akcentowali” nazwy Warszawa Krakowiacy. - Napijesz się?

Chciałem powiedzieć, że nie. Skinąłem głową.

- To jest to, co się mówi o zastrzeleniu?

Też skinąłem głową. Nalał do kieliszków. Dwóch. Ciekawe, że im człowiek bardziej pijany tym chętniej kiwa głową. Postanowiłem nie kiwać.

- Wiesz co, Kostek, my w Polsce, usiłujemy utrzymać mit o naszej szarmanckiej postawie wobec dam, trochę mi głupio tak... – Niby chciałem pokazać, że brakuje trzeciego kieliszka, ale nie udało mi się, palec zatoczył koło, bardzo nieokreślone.

- Zemfira jest na odwyku – powiedział zwyczajnie. Bez śladu skrępowania. – Nie pije od roku.

Powstrzymałem się od spojrzenia na Zemfirę.

- Aha.

- Podałem ci pierwsze lepsze powody sprowadzenia ciebie do nas – kontynuował, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia. – Pewnie są i inne, ale mogliśmy ich nie skojarzyć. Po drugie, mamy poważny czerwony alarm.

Poszukałem w głowie i znalazłem.

- Wykolejenie pociągu?

- Tak.

- Rozumiem. Ale co z tymi geriatrycznymi zdarzeniami?

- Jutro przesłuchamy świadków z ulicy Thaelmanna. Masz jakieś pomysły?

Miałem.

- Nie mam. Nie oczekujesz chyba cudów?

Westchnął.

- Nie oczekiwałem, ale miałem nadzieję. – Chwilę zastanawiał się. Albo słuchał pomysłów przełożonego. – Jeśli mam być szczery... – zamyślił się.

Może był to dla niego stan dziwny. Chwila szczerości.

- Wiesz, że to jest preambuła do kłamstwa? – wypaliłem.

- Tak. Wiem. Ale my, Słowianie... – pokręcił głową. Najpewniej jego przełożony rzucił mu w tej chwili: „Uważaj, Kostia!”. – Wiesz co, widziałem ten wasz film, „Mała Moskwa”. Znam człowieka, który, moim zdaniem, jest bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć Wiery. Ten wasz reżyser, Krzystek, nie odważył się, albo, w co bardziej wierzę, nie chciał po chamsku dopowiedzieć wszystkiego, czyli tego, że to nasze NKWD powiesiło tę kobietę. Czy wciągnął ją na gałąź drzewa, czy tylko tak ją zakołował, że sama się powiesiła, nieważne. Na pewno to on sprzątnął taboret... Umarł jako pułkownik Czerwonej Armii. A mi wstyd za to, za niego. Po co to mówię... - Odchylił się w fotelu i westchnął. Jeśli grał to znakomicie, Nobel i Oskar, i Globe. – Słuchaj, ja mam przeczcucie, a to jest coś, za co mnie tu cenią, że dzieje się coś niezwyklego i cholernie... *jobanyj w rot*... niedobrego. Na dużą skalę. Taką, której ja nie ogarniam.

- *Tawariszcz kapitan*? – Zemfira chyba uznała, że jej przełożony uderza w przesadnie słowiańską nutę. – O której jest...

- *Pieriestań*... – Zbył jej troskę machnięciem ręki i ciągnął patrząc na mnie: - Jeśli masz rację, jeśli w nasz racjonalny świat, w którym, jak się nam wydaje, najgorszy jest atak na WCT czy wysadzenie w powietrze pociągu czy wymordowanie kilkuset zakładników, wkracza zło, nie, nie zło, tylko ZŁO, to pieprzę zabawy w macanie...

Wydał mi się nieszczerzy. Zwłaszcza w kontekście tego, co Zemfira bąknęła o jego mocnej głowie.

- Nie chciałem cię napawać przesadną rozpaczą – rzuciłem, jakoś wrednie ciesząc się z tego, co za chwilę powiem. – Guimonów jest tylko kilkuset na całym świecie. Dokładnie rzecz ujmując sześciuset sześćdziesięciu sześciu. Plus minus kilku. To – jakby – dobra – wiadomość.

- Zdławić siedmiuset... ludzi... to jest problem?

- Tak. Bo liczba ich jest stała. Żebyś się zes... – Przypomniałem sobie, że jestem szarmantem, Polakiem. – Żebyś nie wiem co – liczba stała. A ich pogromców jest, jak sądzisz, ilu?

Obliczał chwilę.

- Czterdziestu?

- Czterech! – wypaliłem. – Ekstermanów jest czterech. I to też jest stała liczba. O ile mam pojęcie o całej sprawie.

- Ekstermani? – zapytała szybko Zemfira.

- Ci, co mogą niemal bez trudu eliminować guimony.

- To dlaczego nie robią tego? – przejęła rozpytkę.

- Bo guimonów jest niby mało, ale są rozszani po całym świecie, samo wytropienie ich stanowi ogromny problem, a likwidacja kilku powoduje wzmożony pobór nowych. I koło zatacza... koło...

Cała nasza trójka zamilkła. Nie musiałem im, zawodowcom, tłumaczyć, że po prostu nie można zmontować większej akcji, że nie można przydzielić każdemu ekstermanowi dwóch tysięcy żołnierzy, policjantów i ochotników, żeby ci naganiali im guimony, a oni, niczym koszerne rzeźnicy, tylko je szlachtowali alsternowymi maczetami. Po prostu się nie da. Nie da. Nie!

Sukonin nagle potrząsnął głową. Trochę się zdziwiłem, że już jest ugotowany, ale on popatrzył na mnie kompletnie i nieprawdopodobnie trzeźwymi oczami i powiedział: - Nie odważę się pojechać do Moskwy i powiedzieć tym *stalicznym* dupkom, że ich ofiarnego popa rozszarpał jakaś podległa Cthulhu babunia.

- Zrekapitulujmy – to mój ulubiony sposób, żeby sprawdzić, czy jeszcze mogę mleć ozorem: powiedzieć „zrekapitulujmy”. Udało się. Zakup kilkudziesięciu tabletek antykacowych i zażycie kilku uznałem za usprawiedliwione, uzasadnione i – tak! – skuteczne. – Czy odnotowaliście wzmożenie spraw geriatrycznych, czy po prostu dopiero teraz wpadliście na to?

- Jeszcze nie wiem. Dwa tygodnie temu doszło do skojarzenia kilku spraw. Normalnie już bym miał danych od metra, ale wygramolił się z szyn ten „Newski Sputnik” i wszystkie siły rzucono na ten... – Poszukał na suficie słownika i znalazł: - ... odcinek.

- Tego wykolejenia nie łączymy z naszymi starcami? – zapytałem.

Nie wiem, po co. Kompletnie mnie nie interesowało wykolejenie pociągu o ile nie prowadziła go pomarszczona modliszka z płonącymi nienawiścią oczami.

- Na razie nie mamy podstaw do łączenia tych spraw. – Gdzieś ulotniła się jego chwilowa, może udawana, słabość. Już nie kiwał głową. – Palisz? – zapytała. – Ja nie, ale jak chcesz – to pal. – Zemfira, powiedz o tym pociągu, a ja się udam, gdzie król chodzi piechotą.

Pani porucznik odprowadziła go spojrzeniem do połowy drogi do drzwi, dalej się nie odważyła. Podała mi popielniczkę i zaczęła wolno i wyraźnie:

- Najszybszym pociągiem na tej trasie wcale nie jest *Niewskij Sputnik*, najszybszy jest ER 200. Ten pociąg jeszcze za Związku Radzieckiego jeździł do Pitra z prędkością 200 kilometrów na godzinę i jeździ tak dotychczas. Jest szybszy od tego ekspresu! A Sputnik jest po prostu jednym z szybkich pociągów, nic więcej. Tak naprawdę, mógłby jechać szybciej. Ale część drogi pokonuje z prędkością sześćdziesiąt – siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Jakby jechał z maksymalną możliwą prędkością podróż trwałaby znacznie krócej. To jest zwyczajna polityka kolei żelaznych – jest wygodny. Masa ludzi woli jechać nocnymi pośpieszonymi. Wcale nie muszą być najszybsze, ludzie kładą się spać, i rano są na miejscu. Hotel na kołach. Jest konkurencyjna *Aurora*, sypialne z przedziałami. *Krasnaja Strieła* jest bardziej luksusowa, a taki Megapolis, czy Grand Ekspriess to pięciogwiazdkowe pałace. Kto co woli, i na co ma pieniądze. Są też pociągi z dość starymi wagonami, ale tanie. Ale Sputnik jest nietypowym pociągiem. Bo jedzie wieczorem, jedyny o takiej porze. Wielu ludziom pasuje, trzy pełne takie składy jadą codziennie z Moskwy i Pitra, jeden jest w sprzątaniu i na przeglądzie technicznym, potem się zamieniają. To dość nowy skład, z 2001 roku, wybudowany w Twieri... Co roku odbywają szczegółowy przegląd techniczny... – zamilkła, nie wiedząc, czym wypełnić czas nieobecności przełożonego.

- Rozumiem. – Nie mogłem już jeść więcej, nie powinienem więcej pić. – Można tu palić? – Nie zrozumiała, albo się obruszyła. – Papierosy?

- A! Można. – Poderwała się i ruszyła do jednej z komódek przy drzwiach. Wyjąłem z kieszeni piguły i wrzuciłem dwie do szklanki z mineralną. Zasyczały, Zemfira jakby zeszywniała, ale nie odwróciła głowy, dopiero wracając z popielniczką zerknęła na szklankę.

- Trochę boli mnie głowa. I może nie będę miał kaca. – Znowu zmarszczyła brwi. – Kac, to następny dzień, rano – boli głowa, woda, choroba...

- *Pachmielje!* – Skinęła głową. – Rozumiem. Pomaga?

- Jak kiedy. – Wypiłem duszkiem szklankę leku. Zapaliłem. Smakował jak cholera.

- Tym razem może nie trzeba będzie – powiedziała, jak mi się wydało - z pewnym rozmarzeniem. – Wiesz, co pijecie? – Popatrzyłem na etykietkę, czerń i srebro, dużo cyrylicy, sama cyrylica.

- *Kamandirskaja?*

- Tak, nie kupisz jej w sklepie. Gorzelnia robi dla specjalnych klientów, precyzyjnie utrzymywana temperatura pędzenia, bez atomu brudów. Na ogół nie daje niemiłych efektów porannych.

Zrobiłem aprobującą minę, zaciągnąłem się. Przy trzecim dymie otworzyły się drzwi i wszedł Sukonin.

- Wracając do naszych... guimonów – zagał. Wydawało mi się, że sięgnąć po butelkę, ale zrezygnował. Nie wystarczyłoby na dwa kieliszki, może nie chciał otwierać drugiej butelki. Może już nie miał tej dobrej, dowódczej. – Co się u was dzieje w tym temacie?

- Nic. O ile wiem – nic. Ekipa z USA wyjechała z Polski, obiecywali zaprosić mnie na szkolenie. – „Po co ja to wszystko mówię? – pomyślałem. – Dałem sobie rozsznurować ozór czy nie musieli tego robić? Dobra, nie powiem, nie pomogę, to co? Komu zrobię dobrze, nam czy rosyjskim guimonom?”. – Sądziłem, że będzie to szkolenie właśnie w tym zakresie. – „Myślałeś nawet, że będziesz jednym z ekstermanów, dupku!”. – Ale wszystko jakby się rozwiało. Jedyne, co zawdzięczam Amerykanom, to to, że moi szefowie chyba boją się mnie ruszyć. Przerzucają tylko z rąk do rąk, jak gorący kartofel. Wyrzucić szkoda, może się przyda, ale parzy w łapki.

- Myślałeś, że awansujesz? – szybko zapytał Sukonin.

„Trafia dobrze – musiałem przyznać w duchu. – Z samych raportów ma wiedzę, czy ktoś mu pomaga?”.

- Szczerze to nie wiem. Nic nie wiem, żeby istniała jakaś hierarchia – zaciągnąłem się ostatni raz i zgasilem niedopałek. – Wydaje mi się, że, w potocznym tego słowa rozumieniu, nie ma.

- Ale mogli cię zrobić szefem na Europę?

- I co bym robił?

- Albo przynajmniej na Europę Wschodnią czy Środkową.

- To samo pytanie. Co – pojedę do Czechów, żeby im opowiadać o guimonach?

W mojej kieszeni ożyła komórka, rozbrzęczała się zetknąwszy z metalową obudową noża. Wyjąłem telefon i popatrzyłem na wyświetlacz. Majka.

Wrzuciłem telefon do kieszeni. Sukonin, czekający z odpowiedzią, żebym się uporał z komórką, wycelował we mnie z palca: - - Ale...- nagle porzucił myśl i odwrócił się do podwładnej. - *Zemfiroczka, daj nam wodoczki, a?* – Porucznik ruszyła do obudowanej drewnem łódki, Sukonin odwrócił się do mnie. – Patrz. Przyjmujemy, że mówisz prawdę, to nie jest założenie, ja ci wierzę. Mówisz prawdę, istnieją guimony, szlag – skąd się biorą. Możemy uprościć, że są jakimiś dewiantami, zmodyfikowanymi jednostkami, na których ktoś eksperymentował. Nieważne. Są. Jest ich sporo. Są nie do wykopowania przez normalnych ludzi, i nie do eliminacji w zwyczajne ludzkie sposoby. Aktualnie mają kiepską organizację, są rozproszone, nie kontaktują się ze sobą, nie gromadzą, w tym sensie, że nie robią jakichś zlotów, spotkań, szkoleń, że tak sobie zadowolają. Nie urządzają konwentów, jak miłośnicy prozy Lovecrafta, prawda?

- No-oo... Z tego, co wiem – nie.

- A wyobraź sobie, że do Francji przyjeżdża wycieczka, czterdziestu niewinnych starszków, zwiedzają Paryż.. Ach, Luwr! Ach, Pola Elizejskie! Ach, kto się odważy wjechać na wieżę Eiffla? – zaskrzypiał-wychrypiał starczym głosem. – A potem jadą do Normandii, przecież muszą zobaczyć miejsca, gdzie toczyły się te okrutne walki podczas II Wojny Światowej. Ach, co za okopy, och, jakie bunkry. A co to? Reaktor jądrowy w Flamanville? Jaki nowoczesny, jaki chroniony? – Niemal wyszarpnął z ręki Zemfiry butelkę, cicho i ulegle zgrzytnął kapsel.

„Oleista strużka – pomyślałem - popłynęła do mojego kieliszka... Oj, upiłem się, rymuję? Czyżbym uderzył w wiersze, jak Kazik z pionu finansowego? Boże, nie!”.

- Widzisz to? – ciągnął Sukonin. - Czterdziestu kurewsko silnych i niespecjalnie poddających się ostrzałowi gerontów uderza na reaktor. Rozwalają ochronę, bo muszą. Tamci nie mają kul z alsternu, nie mają srebrnych strzał, ani stalowych pałaszy. Grzeją do starszków z kaemów, albo i nie grzeją, nie rozumiejąc, co się dzieje... – Uniósł kieliszek,

chciałem opuścić kolejkę, ale czekał, i czekał, podniosłem swoją *riumkę* i wypiliśmy. – Czy guimony jakoś dbają o swoje... ciała? Powłoki? Chodzi mi o to, czy...

- Czy poświęcą się bez wahania? – przerwałem.

- Tak. Czy to są bezmyślne automaty?

- Postawiłbym, że tak. Bezpieczniej dla nas tak myśleć. Że zrobią wszystko, co mają do zrobienia i w dupie mają własny los. To nam może oszczędzić przykrych niespodzianek. Zakładajmy, że to samobójcy, coś jak muzułmańscy straceńcy, kamikaze, szachidzi... – Wyjąłem papierosa i pokręciłem go w palcach. – Rozumiem, do czego zmierzasz – ta czterdziestka mało podatnych na zniszczenia dziadów rozpier... rozpieprzy reaktor, zafunduje Zachodniej Europie drugi Czernobyl...

- Tak właśnie myślę! – Przynął mi zapalniczkę. – Możemy sobie wymyślić inne scenariusze, nasi rodzimi terroryści mieli też kilka pomysłów, teatr, szkoła... Ale na zaatakowanie reaktora czy magazynu broni nie mają jaj. A ci twoi – oby się nie połapali, że mają!

Bystry i spolegliwy. Nie, spolegliwy to nie to słowo, koncyliacyjny. Zgodliwy.

Znowu poczułem wibrację telefonu, wyjąłem komórkę, znowu Majka. No trudno. Nie będziemy narażali jej na koszty. I siebie na kłopoty – może coś się dzieje z synem, jej synem? Odrzuciłem połączenie. Moi gospodarze „taktownie” odwrócili się ode mnie, jakbym przeczekiwali moje sikanie do wazy z zupą.

- Masz pomysł na działanie guimonów u was? – zapytałem.

Nie spodziewałem się rzeczowej odpowiedzi, bo co miał powiedzieć: „Tak, obawiam się, że magazyn jądrowy w Koronowoje jest zagrożony”...

- Od metra pomysłów. Były to byłyby moje pomysły, a nie ichniejsze.

Jednak, jak się wśluchało, wstawiał do swojej niemal bezbłędnej polszczyzny, archaizmy i takie drobne niezręczności. Brakowało mu wyraźnie... tego... *trienirowki*? Chacha!..

Chyba ta gorzała zaczynała uderzać mi do głowy. Odkryłem, że brak w tym pomieszczeniu drzwi na balkon. Nalałem sobie całą szklankę wody i wypilem. Nalałem drugą. Wypilem.